GLOBALNIE · OPINIA

PEŁZAJĄCA FEDERALIZACJA. NARODZINY IMPERIUM I ZMIERZCH DEMOKRACJI

Jan Fiedorczuk · 28 stycznia 2021



Gdy kilka lat temu Martin Schulz zapowiadał, że do 2025 powstaną Stany Zjednoczone Europy, większość komentatorów uśmiechała się z lekkim politowaniem nad naiwnością ówczesnego szefa SPD. Schulza w polityce już praktycznie nie ma, ale jego idee są bliższe realizacji niż kiedykolwiek wcześniej. Oto obserwujemy uwiąd europejskiej demokracji oraz wzrastające na jej truchle unijne imperium.

„Weto albo śmierć!" – jeszcze niedawno takie okrzyki można było usłyszeć z obozu władzy w sprawie tzw. mechanizmu praworządności, który Komisja Europejska postanowiła narzucić państwom członkowskim. Polski rząd prężył muskuły, groził zawetowaniem unijnego budżetu, postawił na baczność całą Unię Europejską, po czym... skapitulował. Pomimo buńczucznej retoryki polskie władze przystały na dyktat unijnych dygnitarzy i zgodziły się na powiązanie europejskich funduszy z rzeczonym mechanizmem, spełniając tym samym życzenie niemieckiej prezydencji oraz samej kanclerz Merkel, której unijny sukces posłuży do zwieńczenia wieloletniej kariery. Tryumf Berlina i Brukseli oraz porażka Warszawy i Budapesztu to jednak wyłącznie etap na długiej, trwającej dziesiątki lat, drodze federalizacji Unii Europejskiej.

> **W rzeczywistości obserwujemy proces kreacji unijnego quasi-imperium. Dzieje się to wbrew woli samych społeczeństw europejskich, które nie mają pojęcia o rozgrywającym**

> **się spektaklu, gdyż przez ostatnie dekady liberalne elity wykreowały strukturę polityczną, za pomocą której właściwie uwolniły się od mechanizmów demokratycznych. Obserwujemy narodziny paneuropejskiego imperium oraz powolny schyłek narodowych demokracji.**

Suwerenność za paciorki

Wbrew faktom szef polskiego rządu zapewniał, że jego brukselskie negocjacje okazały się sukcesem. Nie sposób nie przywołać tutaj wydarzeń sprzed dekady, gdy w podobnej sytuacji prezydent Lech Kaczyński wracając do Warszawy był przekonany, że traktat lizboński wzbogacony o tzw. porozumienie z Joaniny. Tylko kto dzisiaj pamięta o jakiejś Joaninie?? Takoż i premier Morawiecki przekonuje, że zagwarantował Polsce historycznie wysokie fundusze (co jest prawdą), a wszelkie powiązania wypłaty pieniędzy z praworządnością, co miałoby ograniczać suwerenność naszego kraju, będą blokowane przez konkluzje szczytu Rady Europejskiej, które są „ponad rozporządzeniami". Problem w tym, że to... nieprawda.

Przypomnijmy, że bojąc się wprowadzenia rzeczonego mechanizmu, Polska i Węgry zagroziły zawetowaniem unijnego budżetu. Ostatecznie jednak zarówno Warszawa, jak i Budapeszt zrezygnowały z „opcji atomowej", głównie ze względu na aktywność niemieckiej prezydencji, która wyszła z propozycją, aby w konkluzjach szczytu znalazł się szereg zapisów gwarantujących, że tzw. mechanizm praworządności nie będzie nadużywany. Rzecz w tym, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w przeszłości już ocenił, że konkluzje nie stoją ponad rozporządzeniami, gdyż nie posiadają charakteru prawodawczego. Wskazywali nawet na to sami politycy Zjednoczonej Prawicy skupieni wokół Zbigniewa Ziobry. W tej materii głośno jest ostatnio o wyroku TSUE z 2017 roku, gdy Węgry i Słowacja próbowały zablokować decyzje dot. przyjmowania imigrantów (sprawa C-643/15). Oba państwa powoływały się właśnie na tzw. konkluzje poszczytowe, które miały gwarantować swobodę decyzji, ale orzeczenie TSUE było jednoznaczne: konkluzje nie mają mocy prawnej. To jedynie dżentelmeńska umowa. A ona w polityce znaczy tyle, co słowo rzucone na wiatr.

Omawiając ostatnie ustalenia na szczycie UE warto wskazać na jeszcze jeden aspekt, który pozostaje nieco w tle. Państwa członkowskie zgodziły się na zaciągnięcie wspólnego długu. Jak wiadomo, nic tak nie cementuje małżeństwa, jak wspólny kredyt. Rząd polski przytłoczony gospodarczymi konsekwencjami epidemii koronawirusa zdecydował się na wzięcie takiego kredytu, tym samym wiążąc nas z Brukselą. Szczególnie warte jest podkreślenia, że to Komisja Europejska będzie miała decydujący głos w kwestii tego, na co zostaną wydane pieniądze z Funduszu Odbudowy. Innymi słowy Polska zdecydowała się na zaciągnięcie kredytu, godząc się, że kto inny zdecyduje na co zostaną przeznaczone środki.

Mgławicowa struktura Unii

Unia Europejska to organizacja mgławicowa, której prawdziwy status nie jest znany. Europa jest areną ścierających się podmiotów, które często w sposób nieformalny forsują swoje postulaty (vide najdonioślejszy tego przykład – „podwójne" irlandzkie referendum dot. traktatu lizbońskiego). Suwerenność państw narodowych nakłada się na suwerenność instytucji UE, a do tego dochodzą konflikty nieformalne na styku polityki z biznesem – wielkie koncerny, korporacje, lobby itd. Sprawę komplikuje ponadto fakt, że w Unii Europejskiej jest kilka organów, które roszczą sobie prawo do podejmowania decyzji ponad

głowami społeczeństw europejskich. Ten (nie)porządek prowadzi do obecnej sytuacji, gdy odpowiedzialność poszczególnych ciał rozmywa się, co ostatecznie skutkuje tym, że decyduje pieniądz i czysta siła.

Całkiem niedawno obserwowaliśmy to zjawisko, gdy doszło do starcia wpływów parlamentów narodowych, Rady Europejskiej oraz Komisji Europejskiej. Najdobitniej ukazało to rozdźwięk pomiędzy RE a KE. O ile Rada w konkluzjach, przynajmniej w części, uległa stanowisku Polski i Węgier, to już szefowa Komisji Ursula von der Leyen wprost oświadczyła, że Warszawa i Budapeszt nie mogą liczyć na żadne uzgodnienia z RE. Było to oczywiście uderzeniem w narodowe parlamenty, ale jednocześnie był to jasny sygnał w kierunku Rady Europejskiej, której dano do zrozumienia, kto w Unii trzyma lejce.

– Konkluzje Rady Europejskiej nic nie zmieniają, zarówno w prawie, jak i stosowaniu mechanizmu praworządności. Jest obawa, że stosowanie mechanizmu zostanie opóźnione, ale tak się nie stanie. Regulacje zaczną działać 1 stycznia – stwierdziła Ursula von der Leyen kilka dni po europejskim szczycie.

Te słowa zostały potwierdzone przez jej zastępczynię Verę Jurovą, która pod koniec grudnia w wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Tagesspiegel" podkreśliła, że wbrew konkluzjom RE, TSUE wyda wyrok w sprawie tzw. mechanizmu praworządności w czasie krótszym niż 12 miesięcy. Jednocześnie wiceprzewodnicząca zapewniła, że od 1 stycznia 2021 KE będzie monitorować wszelkie przejawy „naruszania praworządności", dodając, że już na początku roku Komisja Europejska „zajmie się Polską i Węgrami".

Buńczuczne zapowiedzi kierownictwa KE doskonale wpisują się w styl szefowania, jaki objęła von der Leyen. Aby zrozumieć dokąd zmierza Unia, musimy cofnąć się do września zeszłego roku, gdy niemiecka polityk wygłosiła przemówienie stylizowane na orędzia amerykańskich prezydentów o stanie państwa. To wtedy przewodnicząca KE zarysowała kierunek, w którym ma zmierzać Europa. Na pierwszy plan wysunęła wówczas trzy kwestie: obyczajowe, ustrojowe oraz klimatyczne.

CZYTAJ TAKŻE: Urabianie społeczeństwa pod sojusz trwa. Czy naprawdę Ameryka da się lubić?

Eschatologiczny wymiar Unii Europejskiej

W swoim orędziu von der Leyen zaskakująco dużo miejsca poświęciła tematyce LGBT i szeroko pojętej „tolerancji". Szczególnie istotne wydają się akcenty położone na ujednolicenie ładu prawnego państw europejskich oraz ustawienia kwestii LGBT jako czołowego zagadnienia, świadczącego o standardach praw człowieka w poszczególnych regionach Europy.

Przemówienie niemieckiej polityk należy odsączyć z ideologicznego pustosłowia, aby uchwycić konkretne propozycje. Są to przede wszystkim dwa postulaty; pierwszy dotyczy walki z mową nienawiści, czyli – przekładając z nowomowy na polski – wprowadzenie cenzury. Szefowa KE wyraźnie zaznaczyła, że będzie parła do rozszerzenia listy przestępstw, na którą mają zostać wpisane wszystkie formy przestępstw z nienawiści i mowy nienawiści. Drugi postulat dotyczy z kolei tego, aby „dzieci par jednopłciowych" były uznawane we wszystkich państwach członkowskich Unii.

> **Innymi słowy, pod ładnie brzmiącymi frazesami o tolerancji, czai się wezwanie do wprowadzenia cenzury oraz pogwałcenia suwerenności europejskich narodów w kwestiach kulturowych. Nie ulega wątpliwości, że status „rodzicielstwa" par jednopłciowych będzie jedynie pierwszym z wielu standardów, jaki zamierza ustanowić von der Leyen.**

Gdy dojdzie do jego uznania, przyjdzie z pewnością pora na „małżeństwa" osób homoseksualnych, a następnie kwestie z pogranicza obyczajowości, ideologii czy eugeniki. Nie sposób też nie przypomnieć o działaniach KE, która 12 listopada ogłosiła „strategię na rzecz równości lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych, interseksualnych i queer". Zachwytu nie kryła zarówno wiceprzewodnicząca Vera Jurova (która jednakowoż dodała, że„w*ciąż jesteśmy daleko od pełnej inkluzywności i akceptacji, na jakie zasługują osoby LGBTIQ"),* jak również komisarz ds. równości Helena Dalli (która to kilka miesięcy temu wprost podkreślała, że budżet UE musi być powiązany z uznaniem przez państwa członkowskie tych „wartości"). Tak oto kwestie LGBTIQ stają się podstawowymi wartościami, na których opiera się UE. Nie demokracja, wolny rynek, bezpieczeństwo czy dziedzictwo Europy, tylko właśnie rewolucja kulturowa ma być fundamentem, na którym powstanie imperium.

Tym samym sprzeciw wobec narzucania „standardów LGBT" przestaje być jedynie sprawą obyczajową, czy też – jeżeli wolimy to określenie – ideologiczną, a przeistacza się w kwestię suwerenności narodowej, gdyż oto staje przed nami pytanie, kto ma decydować o ładzie prawnym w poszczególnych państwach – narody czy unijna centrala.

Warto na marginesie zauważyć, że w trakcie swego orędzia von der Leyen wprost pogroziła Polsce palcem. – Chcę postawić sprawę jasno. Strefy wolne od LGBT to strefy wolne od ludzkości, od wartości humanistycznych i nie ma dla nich miejsca w naszej Unii – podkreślała. Nie pozostawia to żadnych wątpliwości, kto jako pierwszy w UE poczuje efekt tęczowej cenzury. Jej słowa, z punktu widzenia orędowników nowego, unijnego porządku są logiczne – każde imperium potrzebuje sztandaru, który nada mu misję dziejową.

> **Porządek imperialny tym się różni od ładu wyznaczanego przez klasyczne państwa, że nie posiada ustalonych granic. Imperium musi prowadzić nieustanną ekspansję, gdyż jego ambicją nie jest wypracowanie stabilnego ładu i zapewnienie bezpieczeństwa swoim mieszkańcom, tylko prowadzenie misji o charakterze eschatologicznym. Praworządność, wartości europejskie czy LGBT to hasła, które mają legitymizować imperialne dążenia Brukseli. Każdy, kto nie mieści się w granicach limes, ten jest barbarzyńcą. Niegdyś limes stanowił system dróg odgradzających tereny Rzymu, dzisiaj limes mają charakter ideologiczny.**

W przeszłości imperia miały charakter sakralny, dzisiaj wraz z galopującą laicyzacją Zachodu eschatologia została zeświecczona do postaci tęczowych sztandarów i prawoczłowieczyzmu (zainteresowanych tą tematyką odsyłam do artykułu Magdaleny Ziętek-Wielomskiej, która doskonale opisała te procesy w najnowszym numerze półrocznika „Pro Fide Rege et Lege"). Nie zmienia to faktu, że antyracjonalizm wprost promienieje od zideologizowanych „wartości europejskich", co paradoksalnie nadaje im prowidencjalistyczny wymiar. „Idzie nowa religia zamiast starej i dlatego zgłasza się tak dużo żołnierzy" – tymi słowami Dostojewski w *Biesach* opisywał rodzący się socjalizm i wydaje mi się, że doskonale pasują do opisu „religii LGBT", na którą Unia musi nawracać ciemne masy. Jeszcze do niedawna ten, kto w ZSRR nie uznawał prawdy o nieuchronnym zwycięstwie komunizmu, był reakcyjnym, zaściankowym barbarzyńcą; kto nie popierał „eksportu demokracji" przez USA, ten podważał *pax americana*; dzisiaj natomiast każdy, kto nie uznaje „wartości europejskich", ten sam siebie stawia poza kręgiem cywilizacji –

staje się huxleyowskim *Dzikusem* w unijnym „Wspaniałym Świecie".

Skoro budowa imperium nie może przebiegać w klasycznym, militarnym wariancie (kwestią czasu jest zbudowanie armii europejskiej), to Unia musi stawiać sobie inne cele. Pierwszym jest wymiar ideologiczny, o którym pisałem wyżej, drugim natomiast są wielkie projekty na terenie Europy. Jednym z aspektów poruszonych przez szefową KE w jej orędziu były kwestie klimatyczne wraz z ideą „zielonego ładu". Polityk podkreśliła, że ta sprawa jest priorytetem dla Unii Europejskiej, która powinna zwiększyć cel redukcji emisji CO_2 do 2030 r. z 40 proc. do co najmniej 55 proc. Von der Leyen mówiła o tych planach we wrześniu, a już trzy miesiące później mogliśmy obserwować realne konsekwencje tych słów, gdy na szczycie Unii zawarto porozumienie dotyczące ograniczenia emisji gazów cieplarnianych właśnie do co najmniej 55 proc. do 2030 roku. Te niezwykle istotne uzgodnienia zostały całkowicie przykryte awanturą dotyczącą praworządności.

Jednak nie tylko kwestie klimatyczne przeszły ze sfery teoretycznej na poziom realnej polityki. Również niedawna zapowiedź von der Leyen, dotycząca zmian ustrojowych Unii wchodzi w życie. Kilka miesięcy temu podczas swojego głośnego przemówienia szefowa Komisji Europejskiej podkreślała, że Unia musi być bardziej scentralizowana, jeżeli chce stawić czoła globalnym wyzwaniom.

– Co nas powstrzymuje? Dlaczego nawet proste deklaracje o wartościach UE są opóźniane, tonowane lub wstrzymywane z innych powodów? Gdy państwa członkowskie twierdzą, że Unia działa zbyt wolno, odpowiadam im: śmiało! Dopuśćcie wreszcie do głosowania większością kwalifikowaną, przynajmniej w kwestiach praw człowieka i wdrażania sankcji – mówiła. I jej słowa, przy pomocy polskiego rządu, stały się ciałem.

Budowa imperium

Zarówno z zapowiedzi, jak i działań szefowej Komisji Europejskiej jasno wynika jej cel – budowa nowego europejskiego imperium. Jest to po prawdzie stara obsesja Niemców – narodu bez ustalonych granic, narodu bez państwa narodowego. Szwajcarski historyk Gonzague de Reynold twierdził, że Niemcy to naród bez kraju – łączą go nie instytucje czy kultura, tylko rasa oraz język. To naród rozlewający się po Europie, cyklicznie próbujący ją zdominować i raz za razem ponoszący porażkę. Są za słabi, by podbić Europę, ale zbyt wielcy by zadowalały ich obecne granice. Państwo narodowe jest dla Niemców niezrozumiałe, jest zbyt małe i zbyt ograniczone. Te różnice były widoczne już w średniowieczu, gdyż Niemcy nie wykształcili pojęcia Korony i nie posiadali monarchii narodowej; podzieleni na setki państewek nie rozumieli również jasnych, klarownych (typowo łacińskich) ram wyznaczanych przez nowożytne państwo narodowe. Dla nich naturalna jednostka polityczna to mała ojczyzna albo cesarstwo. Formy pośredniej, europejskiego złotego środka, nie uznają. Państwo narodowe to – jak ujął Edgar Jung – „francuski wymysł". Niemcy marzą o idei przerastającej ciasne ramy narodowe, pragną imperium, pragną wielkich przestrzeni, pragną *Grossraumu, na którym ich nieokreślony, niedefiniowalny volk mógłby się rozlać.*

Świadomi, że są zbyt słabi, by siłą narzucić imperialny porządek całej Europie, Niemcy skupili się po wojnie na pokojowej działalności, gdzie bronią nie są tanki, tylko gospodarka, ideologia i *soft power*. Na drodze do budowy nowego porządku stoją im jednak europejskie narody, dla których idea „Stanów Zjednoczonych Europy" (czy jakkolwiek inaczej nazwiemy tę konstrukcję), to czysta aberracja. Dlatego też, najważniejsze decyzje podejmuje się bez konsultacji ze społeczeństwami Europy, tak aby narody nie miały możliwości przeciwstawić się idei nowego wspaniałego świata. Tutaj też ma swoje źródło zjawisko,

które politolodzy określają mianem „deficytu demokracji". Oczywiście unijne elity mają pojęcie demokracji non stop na ustach, ale w rzeczywistości gardzą ludem, a sama demokracja jest jedynie symbolem, za którym można się schować. Europejczycy to ciemna masa, której należy narzucić nowy światły porządek.

Wszak jeżeli zagłębimy się w omawiane orędzie szefowej KE, to staje się jasnym, że schwarzcharakterem nowoczesnej Europy są właśnie suwerenne państwa narodowe – to kotwice, które nie pozwalają przekształcić się Unii w nowe, scentralizowane imperium.

> **Nową Europę trzeba zatem wykuć wbrew woli samych Europejczyków. Aby tego dokonać, należy unieszkodliwić ich ostatni mechanizm obronny – demokrację. Zauważmy, że same instytucje unijne, nie licząc fasadowego europarlamentu, nie mają nic wspólnego z wolą ludu. To ciała wyłaniane niezależnie od społeczeństw europejskich. I nie jest to przypadek, gdyż Unia to ponadnarodowa instytucja, która jest liberalna, ale już niekoniecznie demokratyczna.**

Sam frazes o „europejskich wartościach" jest pustym hasłem, którym posługuje się brutalna siła, by nadać sobie powab szlachetności. Wszak hipokryzja to hołd składany cnocie przez występek. Nikt nie grzmi o upadku demokracji, gdy francuskie służby brutalnie pacyfikują protesty żółtych kamizelek, nikt nie mówi o końcu rządów prawa, gdy niemieccy politycy wybierają sędziów, nikt nie mówi o równych szansach i solidarności, gdy Niemcy rzucają na kolana zadłużonych Greków, nikt nie pamiętał o traktatach unijnych, gdy Angela Merkel arbitralnie zdecydowała o otworzeniu granic Europy na imigranckie masy... To tylko kilka najgłośniejszych przypadków, które mają unaocznić, że coś takiego jak „europejskie wartości" nie istnieje.

Trzy filary, na których przede wszystkim budowana jest Unia – kwestia klimatu (zielony ład), finanse (strefa euro, wspólny dług), „europejskie wartości" (tzw. mechanizm praworządności, LGBT) to narzędzia, których celem jest zdławienie narodowych demokracji. Dlatego też, w najbliższym czasie możemy spodziewać się jedynie zwiększenia nacisku na te kwestie.

Czas decyzji

Federalizacja Europy nie rozpoczęła się wczoraj. To proces, który postępuje od lat, a który w ostatnim czasie nabrał jedynie rozpędu. Na obserwowane w ostatnich miesiącach przyspieszenie złożyło się kilka czynników, ale osobiście wskazałbym przede wszystkim na pandemię koronawirusa, która sparaliżowała zachodnie społeczeństwa, ukazała ich kruchość i słabość. Stało się jasne, jak łatwo jest zastraszyć współczesnego człowieka Zachodu. Czas zamętu to idealny moment na przeprowadzenie operacji, które w normalnych warunkach wywołałyby opór społeczny. W chwili zagrożenia wolność traci na znaczeniu, a ludzie gromadzą się wokół tego, kto obieca bezpieczeństwo i zaproponuje jakiekolwiek rozwiązanie. Jeżeli unijne elity chciały powiązać państwa Europy wspólnym długiem oraz dokonać rewolucji ustrojowej, to patrząc z pragmatycznego punktu widzenia, wybrały najlepszy możliwy moment.

W unijnych elitach od lat narastało przekonanie, że model, na którym funkcjonowała dotychczas UE, wyczerpał się. Hasło „Unii dwóch prędkości" nie było jedynie straszakiem publicystycznym, ale również pew-

nym opisem panującego stanu rzeczy. Z jednej strony mieliśmy ewidentną tendencję federalistyczną (symbolizowane przez takie postaci jak Martin Schulz, Ursula von der Leyen czy Emmanuel Macron), a z drugiej strony w ostatnich latach przebudziły się siły narodowej reakcji, które jawnie podważały ideę nieomylnej zintegrowanej Unii (mowa nie tylko o sukcesach Kaczyńskiego czy Orbana, ale również o fenomenie Farage'a, prezydenturze Trumpa, popularności Marine Le Pen czy eurosceptycznych tendencjach włoskiego społeczeństwa). Niemcy przez dłuższy czas z rezerwą podchodzili do francuskich nawoływań dot. budowy unijnego imperium, jednak w ostatnich latach ewidentnie podjęto decyzję, że Unia w obecnym kształcie nie może trwać dalej i zdecydowano się na ucieczkę do przodu. Na naszych oczach dochodzi do zderzenia tych dwóch porządków – imperialnego z narodowym; oligarchicznego z demokratycznym. Na dłuższą metę nie da się ich ze sobą pogodzić, gdyż już na poziomie samej aksjologii są ze sobą sprzeczne.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/pelzajaca-federalizacja-narodziny-imperium-i-zmierzch-demokracji/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć